

ANDRZEJ PILIPIUK

Wojśławicka masakra kosą łańcuchową



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Wojśławicka
masakra kosą
łańcuchową



ANDRZEJ PILIPIUK

Wojśławicka masakra kosą łańcuchową

ILUSTRACJE:
ANDRZEJ ŁASKI



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



Syrenka

Jakub i Semen dreptali niespiesznie ulicą. Zza kolejowego nasypu sterczały dumnie elementy Stadionu Narodowego.

– Widzisz to paskudztwo? – zagadnął Wędrowycz. – Dwa miliardy złocisz kosztowało. A wiesz, skąd władza bierze kasę na takie duractwa?

– Z podatków? – Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Otóż to. A ja mogę z dumą powiedzieć, że nie dołożyłem do tego ani grosza z mojej krwawicy. A że nie pijam państwowej wody, to i na akcyzie nie zarobili – zarechotał Jakub.

– Ale w piwie też jest akcyza – zauważył pogodnie kozak.

– Może i tak, ale na tyle niewielka, że pewnie poszła na naszą służbę zdrowia. Lekarze bez przerwy marudzą, że szpitale niedofinansowane, a to chyba nakłada na nas obowiązek moralny jak najczęstszego spożywania piwa.

– Wolę, gdy gadasz na tematy, o których masz choćby zielone pojęcie – powiedział Semen. – No dobra, gdzie ta twoja klientka?

– Wyznaczyła mi spotkanie nad kanałem dawnego Portu Praskiego. Konkretnie: nad tą odnogą, która jest bliżej Wisły. To chyba za tymi krzaczorami.

Zeszli z chodnika, pokonali rozsypujący się płot z drewnianych paneli i niebawem znaleźli się nad prostokątnym rowem wypełnionym częściowo wodą, a częściowo szlamem. Tu i ówdzie w podmuchach wiatru kołysały się lodygi trzciny i pałki wodne. Za czasów carskich okolica tętniła życiem. Linia kolejowa prowadząca w głąb imperium dostarczała towary. Część składowano w magazynach, inne ekspediowano statkami i barkami w dół i w górę Wisły. Obecnie jedynym wspomnieniem dawnej świetności były osypujące się nabrzeża z czerwonej cegły i stojąca pomiędzy nimi woda.

– Jest i klientka. – Kozak wskazał damulkę w skąpym bikini, opalającą się opodal na brzegu.

Starcy dziarsko ruszyli w tamtą stronę, ale już po chwili radykalnie zwolnili kroku. Pańcia miała ładną figurę i pięknie zaokrąglony biust. Buzię też miała miłą. Ale pierwsze wrażenie psuły spiczaste uszy i pazury u dłoni. To, co zwisało z nabrzeża, wcale nie było nogami...

– Dzień dobry, panie Jakubie – uśmiechnęła się syrena, ukazując drobne, ostre ząbki. – Witam też pańskiego towarzysza. To ja dzwoniłam. Chciałabym panów wynająć...

– Wybaczy pani – burknął egzorcysta. – Z zasady nie pracuję dla bytów nieludzkich. A w tym przypadku – skrzywił się – mówimy o zleceniu od istot krwiożerczych i pasożytujących na moim własnym gatunku! Mało kto o tym wie, ale syreny zasadniczo dzielą się na dwa rodzaje – zwrócił się do kumpla.

– Rzeczne i morskie?

– Nie... Dla uproszczenia nazwijmy je syrenami normalnymi i syrenami wegeterianскими. Normalne syreny to, jak powszechnie wiadomo, bezlitosne, groźne bestie. Wabią marynarzy śpiewem, topią, wyrywają im serca i zjadają.

Syrena uśmiechnęła się dziwnie, jakby przypomniało jej się coś przyjemnego.

– A wegetariańskie? – zainteresował się kozak.

– Wabią śpiewem, topią, ale nie zjadają. Żywią się planktonem. Albo może wodorostami. Chociaż kto je tam wie, tak dokładnie może i rybki wcinają.

– A ta warszawska? Jakiego jest gatunku? – spytał Semen.

– W sumie to nieistotne. – Jakub wzruszył ramionami i wydobył z kieszeni granat. – Dobry myśliwy zawsze daje zwierzynie szansę. Dlatego zwiewaj, Arielka, czy jak tam masz na imię.

– Kunegunda.

– Też ładnie. No więc słuchaj, Kunegunda. Śmigasz w wodę, a ja najpierw policzę do pięciu, zanim...

– Panowie, a dacie dojść do głosu? – prychnęła syrena. – Naprawdę mam problem.

– Ma pani trzy minuty – warknął Jakub. – Albo minutę może. I tak nie mam zegarka.

– Proszę mówić. – Semen wcisnął stoper na komórcę.

– Po pierwsze, nie podobają mi się pańskie krwiożercze zamiary. Powszechnie wiadomo, że my, syrenki warszawskie, jesteśmy oswojone. Od średniowiecza. Od kiedy podczas wielkiej suszy Wars i Sawa nas dokarmiali. Od tamtej pory polubiłyśmy Warszawę i jej mieszkańców. A nasz wizerunek w herbie stolicy jest symbolem pokojowej koegzystencji i owocnej współpracy syren z władzami miasta, czy częściej po prostu ze społeczeństwem Warszawy.

– Wars i Sawa istnieli naprawdę!? A czym niby was dokarmiali!? – wytrzeszczył oczy kozak.

– Niemieckimi kupcami, którzy się tu zaplątali i próbowali oszwać biednych rybaków – wyjaśniła syrenka.

– Ha! Czyli jednak wabicie i zjadacie ludzi! – prychnął egzorcysta.

– Powtarzam raz jeszcze, że cały mój ród jest przyjacielsko nastawiony i życzliwy wobec warszawiaków. Owszem, wabimy, topimy, patroszymy topielców i zjadamy ich serca. Ale atakowałyśmy wyłącznie zaborców, najeźdźców, okupantów, a w okresach bardziej pokojowych bandytów, komuchów, złodziei, esbeków i zomowców. W latach dziewięćdziesiątych redukowałyśmy pogłowie dresiarzy. Teraz polujemy głównie na dilerów narkotykowych. A ostatnio utopiłyśmy biznesmena od złodziejskiej reprivatyzacji, kilku patodeweloperów i jednego gościa z Afganistanu. Chyba taliba, bo mi się potem dwa tygodnie trotylem odbijało. Moja rodzina od pokoleń odwała w tym mieście kawał dobrej roboty. Asenizacyjnej, rzekłabym. Lżej się dzięki nam oddycha.

– Hmmm... – Semen poskrobał się po głowie. – W takim kontekście to chyba rzeczywiście możemy przymknąć oko... Policz może do dwudziestu, zanim rzucisz ten granat.

– No nie wiem. – Jego kumpel nie wyglądał na przekonanego. – Ja tam się obawiam nadużyć. Nocą nad Wisłą jest ciemno i nawet zakładając szlachetne intencje, mogą się przecież pomylić – burknął.

– W dzień polować się nie da – wyjaśniła syrenka. – Naćkali wszędzie kamer.

Egzorcysta westchnął ciężko, a potem wpuścił granat do kieszeni.

– Skoro żarłaś dresiarzy, to można powiedzieć, że przynajmniej częściowo jesteś po naszej stronie. – Skrzywił się. – No to gadaj konkretnie, do czego jesteśmy ci potrzebni.

– Obawiamy się, że moja siostrzenica została porwana. Przepadła bez śladu cztery dni temu. Raczej jeszcze żyje, bo gdy syrena ginie, fala telepatyczna sprawia, że cały wodny świat na chwilę zamiera.

– Porwana? – zasępił się Jakub. – Pomyślmy. Po co komu syrena... Żeby ją w zoo pokazać? I tak nikt nie uwierzy. Ładnie

śpiewają... Ale to chyba nie o to chodzi, bo ładny śpiew można z jutuba puścić. Mam raczej złe przeczucia.

– Ja też – bąknęła syrenka.

– Dobra, bierzemy tę sprawę. Czym zapłacicie, gdyby się udało?

– Złotem. Wie pan, niejeden cenny przedmiot wpadł w tę wodę przez osiemset lat.

– Stoi. Gdzie ofiara była widziana po raz ostatni? I jak wygląda?

– Płynęła na północ, planowała zażyć ciepłej kąpieli w kanałku koło elektrociepłowni na Żeraniu. Jest raczej taka drobna. Prezentuje się mniej więcej jak ludzka osiemnastolatka. Niebrzydka. Brązowe włosy. Ma na imię Gizelda.

Obaj starcy odmeldowali się i po chwili maszerowali już w stronę przystanku autobusowego. Egzorcysta zadumał się głęboko.

– Motyw seksualny raczej odpada – odezwał się wreszcie. – Trzeba nastawić się na ten gorszy scenariusz.

– To znaczy?

– Skłusowali ją, żeby zeżreć. Musimy wytypować podejrzanych, przesłuchać i tak dalej. Trzeba się zorientować, gdzie w Warszawie mieszkają Murzyni, Indianie z brazylijskiej dżungli, Indonezyjczycy i przybysze z Karaibów.

– Eeee... Piraci?

– Nie, zwykli mieszkańcy Karaibów. Wśród tych ludów jest najwięcej kanibali. Pomyśl. Jeśli człowiek je rekina, to dość normalne – mruknął Jakub. – Rekin to rodzaj ryby, a ryby się spożywa. Jeśli rekin zje człowieka, to też normalne, po prostu prawo oceanu jest równie okrutne jak prawo buszu. Ale gdy człowiek je rekina, który wcześniej zjadł człowieka, to mamy do czynienia ze słusznym odwetem, który jednakowoż jest także subtelną formą kanibalizmu. Kanibalizm, rzekłbym, drugiego stopnia, czyli pięćdziesięcioprocentowy.

– Hmm... W zasadzie można tak powiedzieć – zgodził się dla świętego spokoju Semen.

– Zatem zjedzenie syreny, która jest w połowie rybą, a w połowie człowiekiem, w dodatku sama spożywa ludzi, jest kanibalizmem siedemdziesięciopięcioprocentowym – ciągnął Jakub.

Kozak przez dobre pół minuty układał to sobie w głowie.

– Może i masz rację. I czego to dowodzi?

– Niczego. Po prostu pokazuję, że umiem w procenty. Trzeba dorwać tego, który to zrobił, i solidnie mu dowalić. Albo lepiej zrzucić z mostu i niech syrenki zrobią resztę.

– Ale jak syreny zeżrą człowieka, który zjadł syrenę, to będzie... – zaczął Semen.

– Nasza głowa w tym, żeby nie zdążył!

Przez chwilę kontemplowali paskudny pomnik Kościuszkowców. Potem doczłapali do wylotu ulicy Kłopotowskiego. Spojrzeli na elegancki budynek dawnej Komory Wodnej, skręcili w prawo i ruszyli w stronę ulicy Targowej.

– Tak się zastanawiam... – mruknął egzorcysta. – Ogon u syrenki jest jak u ryby. Myślisz, że tylko ogon smakuje podobnie jak ryba, czy może cała?

– Nie wiem. A do czego zmierzasz?

– Wnuk mnie kiedyś poczęstował sushi. Trzeba mieć coś w rodzaju papieru z prasowanych glonów. Na to kładzie się warstwę ryżu, rozmaite dodatki, jak na przykład marynowaną tykwę, sezam, omlet, przyprawy, no i, co najważniejsze, rybę. Zasadniczo są dwie szkoły. Jedna trzyma się tradycji, używają wyłącznie tych składników, które występowały w dawnej Japonii, ewentualnie importowanych z Chin. Ale druga uważa, że należy iść z duchem czasu, i oni dopuszczają rozmaite eksperymenty. Ogórek, pomidory i tak dalej... Jeśli syrenkę skłusowali spece od kuchni japońskiej,

to myślę, że chcą zrobić z niej bardzo oryginalną potrawę. Pogrzeb mi teraz szybko w Internecie. Po pierwsze, czy nie przyjechali do Warszawy jacyś ważni goście z tego kraju. Po drugie, gdzie tu są najbardziej wykwintne lokale serwujące te fikuśne roladki. I najlepiej w okolicy, gdzie zaginęła.

Semen wyciągnął komórkę i dłuższy czas smyrał paluchem po ekranie.

– Kicha – powiedział wreszcie. – Był jakiś japoński minister, ale tydzień temu. Otworzył pod Warszawą najnowocześniejszą w Europie fabrykę hentai czy czegoś tam i pojechał. Z lokali najdroższy jest zamknięty, serwowali rybę fugu, ale coś chyba źle opravili. Mają teraz na karku prokuraturę.

– Tak myślałem. Cały ten Internet to zasadniczo fajna rzecz. I gołe babki można pooglądać, i dowiedzieć się masy bezużytecznych faktów. Ale jak przyjdzie co do czego, okazuje się, że nic nie zastąpi zdrowego chłopskiego rozumu.

– Rozumu?

– A teraz popatrz na szyld po drugiej stronie ulicy.

– „Kebab & sushi – Dżyngis-Chan”!? – odczytał zbaraniały kozak.

– Mongołowie jeździli konno, no nie? A sushi robi się z ryb. Ludzkie mięso smakuje podobnie jak konina. Jeśli zaś weźmiemy rybę, która skutkiem podobieństwa do człowieka smakuje trochę jak koń... Albo może z dolnej połówki robią sushi, a z górnej kebab? Sprawdźmy.

– Przyjacielu, jesteś geniuszem! – zachwycił się Semen. – Ale, ale... Mongołowie nigdy nie podbili wysp japońskich. No i kebabu też raczej nie znali. Więc skąd ta cudaczna nazwa?

– Podbić nie podbili, ale nie wykluczam kontaktów handlowych i wymiany kulturalnej. Dżyngis-chan podbił pół świata. Na pewno

zdobył różnorakie łupy. Komu mógł je spylić? Ludziom, którzy mieli pieniądze. Czyli tylko tym, których nie podbił i nie obrał. Japończykom i Arabom.

– Co zatem robimy?

– Wkraczamy, dokonujemy zakupu kontrolowanego, sprawdzamy skład kebabu i sushi, spuszcza my pierdol personelowi, uwalniamy syrenkę – zadysponował egzorcysta.

Weszli do lokalu. Był naprawdę malutki. W sali od ulicy zmieściły się dwa stoliki dwuosobowe i trzy czteroosobowe. Zaplecze też okazało się mikroskopijne. Za ladą drobny facet w okularach, z wyglądu świeżo upieczony maturzysta, obściskował się z niebrydka nastoletnią dziewczyną. Na widok klientów przerwali amory.

– Czym możemy służyć? – zagadnął chłopak.

– Poprosimy jeden kebab i porcję sushi – powiedział kozak. – A do popicia... – Spojrzał w wywieszone menu. – O, może to chińskie piwo. Nie piłem takiego, no, będzie ze sto lat.

Nie minęło dziesięć minut, a dziewczyna przyniosła do stolika zamówione dania. Odkapslowała butelki i przełała zawartość do kufli. Potrawy świetnie pachniały. Jakub zabrał się do kebabu. Druga potrawa przypadła jego kumplowi. Obaj starcy skosztowali.

– To raczej nie ludzina. Smakuje jak zwykły surowy łosoś – zameldował kozak. – A jak twoje?

– Uczciwa wołowina.

Popili piwem. Smakowało nawet podobnie do europejskich.

– Co dalej? – zagadnął Semen. – To raczej nie ich robota, zbyt dobrze im z oczu patrzy. I produkty pierwsza klasa, żaden tam ubój gospodarczy syrenek na zapleczu. Zresztą zaplecze maciupkie, nie mają warunków do przetrzymywania jeńców.

– Szkoda, bo miałem ochotę na małe mordobicie i demolkę lokalu – westchnął Jakub.

– Czyli co, pudło? Masz jakiś plan?

– Zasadniczo najlepiej byłoby sprawdzić pozostałe siedemset podobnych lokali w Warszawie i okolicy. Tylko boję się, że takiej ilości żarełka żołądek nie wytrzyma. Ale najpierw chcę pogadać z właścicielami. No i zapłacić trzeba.

Podeszli do lady. Parka ponownie przerwała amory.

– Powiedzcie mi, proszę, dlaczego ta miła restauracyjka nosi tak cudaczną nazwę? – zapytał Wędrowycz.

– Z przyczyn marketingowych. Wszystkie dobre nazwy były już zajęte – wyjaśnił chłopak. – A Dżyngis-chana ludzie kojarzą.

– W sumie niegłupie. – Kozak kiwnął z uznaniem głową.

– Ładna fryzura... – Jakub skomplementował dziewczynę, a potem nieoczekiwanie złapał karafkę i chlusnął wodą po jej nogach.

Przemiana nastąpiła błyskawicznie. Syrena zachwiała się, stojąc na ogonie, i runęłaby na ziemię, ale czujny Semen w ostatniej chwili ją podtrzymał.

– Odwalcie się od mojej dziewczyny! – ryknął chłopak, łapiąc za dwa paskudnie ostre noże.

– Odłóż to żelastwo, młody człowieku – burknął Jakub. – A ty, Gryzelda, czy jak tam masz na imię, popukaj w kran i zadzwoń do cioci. Ty się tu z człowiekiem obłapiasz, a ona wariuje z niepokoju, że cię porwali.

Zaczerpnął z solniczki i sypnął syrence po ogonie. Po chwili znów stała pewnie na nogach.

– Jak pan się domyślił? – wykrztusiła.

– Po fryzurze, bo zaczesaaś włosy tak, żeby ukryć skrzela za uszami. Cwane. Proszę się nie martwić. Zachowamy oczywiście pełną dyskrecję.

– Ile się należy za obiadek? – Kozak wyjął kartę.



*

Od dawnego kanału ciągnęło wilgocią.

– Nastolatka się zabujała i zniknęła na kilka dni ze swoim chłopakiem. Nie wiem, jak u was, pod wodą, ale to u ludzi niemal normalna rzecz – wyjaśnił Jakub.

– Kamień z serca – uśmiechnęła się Kunegunda. – Ile się należy?

– E – machnął ręką egzorcysta. – Za tak prostą robotę głupio by było brać pieniądze.

– Proszę tak nie mówić. Skromna gratyfikacja się należy. – Syrena wydobyła z sakwy dwa grubachne złote łańcuchy, ozdobione wielkimi wisiorami. Na tym wręczonym Jakubowi dyndała gwiazdka mercedesa, a kozak dostał ozdobiony symbolem dolara.

– To z potopionych dresiarzy czy jak? – zaciekał się Semen.

– Gdzie tam, zdjęliśmy z trupów prawdziwych gruzińskich gangsterów. Pożegnam już panów. – Kunegunda plusnęła w wodę i tyle ją widzieli.

Jakub wyjął granat, policzył do dziesięciu, a potem wzruszył ramionami, wetknął zawleczkę na miejsce i wpuścił morderczy przedmiot z powrotem do kieszeni.



COPYRIGHT © 2025 BY ANDRZEJ PILIPIUK

COPYRIGHT © 2025 BY FABRYKA SŁÓW



Nowy zbiór z Jakubem Wędrowyczem.

PREMIERA 2 LIPCA!

12 opowiadań,
które zaskoczą, rozbawią i sprawią,
że na świat spojrzysz innym okiem :)



fabryka słów®
WYDAWNICTWO